



tekst

MARCIN WÓJCIK

redaktor wydania

Urszula Kłab opowiada o swojej wyprawie do Rzymu w stanie wojennym. Pojechała, by dać chleb Janowi Pawłowi II w czasie Mszy św. kanonizacyjnej o Maksymiliana. Mimo trudności, jakie piętrzyły władze komunistyczne Polski i Czechosłowacji, było warto. Uśmiechnął się do niej Jan Paweł II, widziała Franciszka Gajowniczka, Matkę Teresę z Kalkuty i półki sklepowe, które ugięły się pod towarem (s. III). Ukraińcy, którzy osiedlili się w Żyrardowie i okolicach, raz w miesiącu będą czytać wspólnie literaturę narodową i dyskutować na jej temat. Więcej na s. VII.

Dwie uczennice szkół ponadgimnazjalnych z diecezji pojechały 24 lutego na przedfinałowe testy na Uniwersytet Opolski.

Na V Ogólnopolską Olimpiadę Wiedzy o Rodzinie pojechały do Opola Michalina Kosiorek ze szkoły w Łowiczu oraz Weronika Gąsiorowska z Rawy Mazowieckiej. Najpierw był etap szkolny, który polegał na napisaniu pracy. Uczniowie mieli do wyboru kilka tematów, mogli korzystać z konsultacji nauczyciela opiekuna, szczególnie w zakresie literatury oraz konstrukcji tekstu, jak również poprawności zapisów bibliograficznych. Michalina Kosiorek wygrała etap szkolny tekstem „Model rodziny w serialach. Analiza krytyczna w oparciu o wybrane seriale TVP”. Ale 24 lutego w Opolu do finału ogólnopolskiego przeszła

O rodzinie w Opolu

Serial na olimpiadzie



PIOTR SUMIŃSKI

Weronika Gąsiorowska z Rawy Mazowieckiej przeszła do finału, który odbędzie się w kwietniu. Do olimpiady przygotowuje ją katechetka Aneta Miśkiewicz

Weronika Gąsiorowska. Michalinie zabrakło w teście zaledwie 1,75 pkt., by znaleźć się w gronie finalistów.

Michalinę Kosiorek do olimpiady przygotowawali Edyta Sawicka – nauczycielka języka polskiego i Piotr Sumiński – katecheta z Zespołu Szkół Ponadgimnazjalnych nr 2 w Łowiczu.

Nauczycielem przygotowującym Weronikę Gąsiorowską jest katechetka Aneta Miśkiewicz.

Finał zaplanowano na 5 i 6 kwietnia w gmachu Wydziału Teologicznego Uniwersytetu Opolskiego. Życzymy powodzenia naszej reprezentancie!

js

Przeptynie kajakiem Bałtyk?



DANIEL WACHOWSKI

SOCHACZEW, 25 LUTEGO. Burmistrz Piotr Osiecki spotkał się z kajakerem Krzysztofem Buczyńskim i życzył mu bezpiecznego powrotu do domu z morskiej wyprawy

Sochaczewianin Krzysztof Buczyński podejmie drugą próbę przeptynięcia kajakiem Bałtyku w zimie. Dotychczas nie udało się to żadnemu człowiekowi na świecie. Buczyński tym razem nie wystartuje z polskiego wybrzeża, lecz z Bornholmu. Planuje dostać się na wyspę kutrem, który ma asekurować kajakarza na całej trasie rejsu. Do pokonania jest około 100 km. Zimowa Wyprawa Kajakowa „Bałtyk 2011” dedykowana będzie alpinistce i himalaistce Wandzie Rutkiewicz. W piątek 25 lutego dowódca i organizator wyprawy spotkał się z burmistrzem Sochaczewa Piotrem Osieckim, który jest współorganizatorem tego rejsu. Ratusz pokryje część kosztów przedsięwzięcia. Rozmawiano o ostatnich przygotowaniach, zakupach niezbędnego sprzętu, obawach i nadziejach podróżnika.

dk

Projekt autostrady do 2012

ŁÓDŹ. W łódzkim Oddziale Generalnej Dyrekcji Dróg Krajowych i Autostrad podpisano 24 lutego umowę na zaprojektowanie odcinka autostrady A1 od Tuszy na do granicy z województwem śląskim. W skład zwycięskiego konsorcjum weszło kilka firm.

Projekt na odcinek drogi o długości 63,8 km ma być gotowy w kwietniu 2012 roku. Oznacza to, że pozwolenie na budowę zostanie wydane w drugiej połowie przyszłego roku. Konsorcjum będzie sprawowało nadzór autorski nad przedsięwzięciem. **js**



Chwila przekazania dokumentów. Po lewej dyrektor łódzkiego Oddziału GDDKiA Zbigniew Paliński oraz Grzegorz Nowaczyk z firmy „Trakt”

Kraina Chopina

SOCHACZEW. 22 lutego koncertem w sochaczewskiej Szkole Muzycznej zakończył się trwający przez cały rok Festiwal Muzyczny „W Krainie Chopina”. W tym czasie zorganizowano kilkadziesiąt koncertów w kilkunastu miejscowościach. Ideę festiwalu popierał nieżyjący już kompozytor Henryk Mikołaj Górecki, który był przewodniczącym Rady Honorowej.

Koncert 22 lutego wypełniła muzyka Chopina w najlepszym wykonaniu. Na fortepianie zagrała Kayo Nishimizu, japońska pianistka od lat mieszkająca w Polsce. Towarzyszył jej na wiolonczeli Andrzej Wróbel, a gwiazdą wieczoru był Konstanty Andrzej Kulka, skrzypek. Wspólnie wykonali Trio g-moll op. 8 na fortepian, skrzypce i wiolonczelę. **dk**



Na fortepianie zagrała Kayo Nishimizu, japońska pianistka od lat mieszkająca w Polsce

Blokada dla szkół

ZALESIE, JANKOWICE. Rodzice i nauczyciele z Zalesia i Jankowic (powiat kutnowski) protestują przeciwko zamknięciu szkół w tych miejscowościach. W piątek 25 lutego blokowali Drogę Krajową nr 1 na wysokości Zalesia. „Próbowa- liśmy się porozumieć w władzami gminnymi, ale niestety bez skutku. Nikt z władz nie chce z nami rozmawiać. Rodzice wystosowali pismo do gminy z prośbą o spotkanie, ale burmistrz zignorował, jak na razie, dokument” – mówiła dla portalu KCI Joanna Stańczyk, nauczycielka z Zalesia. Rodzice i nauczyciele zapowiadają, że nie pozwolą, aby wiejskie dzieci były dyskryminowane. O dziwo, w piątek spotkali się ze zrozumieniem i poparciem kierowców. **mil**

Rok po katastrofie

KUTNO. Miejskie uroczystości upamiętniające katastrofę samolotu rządowego pod Smoleńskiem odbędą się w pobliskim sanktuarium maryjnym w Głogowcu. Rozpoczną się o godz. 10 w kościele. Po Mszy św. zostaną złożone kwiaty pod Pomnikiem Katyńskim na cmentarzu. 10 kwietnia, oprócz pierwszej rocznicy katastrofy smoleńskiej, przypada również 71. rocznica zbrodni katyńskiej. Oddzielne uroczystości rocznicowe chciał zorganizować poseł PiS Tadeusz Woźniak, ale zrezygnował i zachęca do wzięcia udziału w obchodach organizowanych przez Urząd Miejski. **dk**

Kolej na zmiany

REGION. Rozpoczęły się prace modernizacyjne na linii kolejowej Warszawa–Łódź. Wyremontowane zostanie m.in. 120 km torów, wymienione będą rozjazdy, powstanie nowoczesna sieć trakcyjna. Aby zmniejszyć utrudnienia, wprowadzona zostanie nowa organizacja ruchu. Na czas remontu pociągi relacji Warszawa–Łódź oraz podmiejskie ze Skierniewic i Żyrardowa będą miały pierwszeństwo, natomiast dalekobieżne będą kierowane na objazdy przez Sochaczew i linie przez Łowicz–Skierniewice. **js**



HENRYK PRZONIZIŃSKI

Bp Andrzej F. Dziuba

U początku Wielkiego Postu będziemy patrzeć na Jezusa Chrystusa, który wychodzi na pustynię i pości przez 40 dni i nocy. Niech ten Wielki Post będzie także i dla nas czasem wyjścia na pustynię, pełniejszego otwarcia się na siebie i innych. (...) Niech ten czas pozwoli nam rozpoznać nasze miejsce w świecie, w rodzinie, w ludzkiej społeczności, a przede wszystkim nasze miejsce przed Bogiem i z Bogiem oraz dla Boga. Spróbujmy odnaleźć siły do przeciwstawienia się pokusom i słabościom, do trwania w nadziei na życie wieczne z Bogiem, na nasze zmartwychwstanie. **Pokój i cisza modlitwy nie każą nam uciekać od świata, bo przecież spotkanie Boga w chrześcijańskich postawach każe nam wracać do bliźnich i nieść im nadzieję.**

Fragment listu biskupa łowickiego na Wielki Post 2011 roku „Wielkopostne budowanie komunii z Bogiem”

GOŚĆ ŁOWICKI

łowicz@gosciedzieny.pl

ADRES REDAKCJI: 99-400 Łowicz, ul. Seminarystyczna 6a
 REDAGUJĄ: Marcin Wójcik – dyrektor oddziału TEL. 666 026 771, Agnieszka Napiórkowska TEL. 666 830 799, ks. Wiesław Kaprzyk – asystent kościelny

Wspomnienia na Rok św. Maksymiliana Marii Kolbego

Patron na dorosłe życie

O paszporcie załatwianym przez kurie, zapieczętowanym węgla i uroczystościach w Asyżu i Rzymie z **Urszulą Kłęb** rozmawia Agnieszka Napiórkowska.



AGNIESZKA NAPIÓRKOWSKA



ARCHIWUM URSZULI KLĘB

AGNIESZKA NAPIÓRKOWSKA: Uchwałą Senatu rok 2011 został ogłoszony Rokiem św. o. Maksymiliana Marii Kolbego. Jak przyjęła Pani tę wiadomość?

URSZULA KLĘB: – Muszę przyznać, że bardzo się ucieszyłam. Ojciec Maksymilian był mi bliski od dziecka. W naszym domu wiele się o nim mówiło, ale jakoś szczególnie się z nim zaprzyjaźniłam od jego kanonizacji, w której osobiście uczestniczyłam. Pomimo upływu lat, nadal dokładnie pamiętam nie tylko cały jej przebieg, ale i fragmenty kazania Jana Pawła II. Mam też przed oczyma osoby, które wówczas tam były: Franciszka Gajownicza, za którego o. Kolbe zginął, matkę Teresę z Kalkuty czy grupę Japończyków, którzy – podobnie, jak my – cieszyli się z ogłoszenia go świętym.

W pamięci pozostały pewnie emocje związane z zaszczyceniem, jakiego wówczas Pani doświadczyła?

– Tak, to prawda. Podczas kanonizacji niosłam – w stroju łowickim – do ołtarza chleb, który przekazałam Ojcu Świętemu. Pamiętam, że razem z kolegą, który miał w koszyku jabłka, mieliśmy powiedzieć, że jesteśmy przedstawicielami archidiecezji warszawskiej i ziemi łowickiej. Z przejęcia drżał nam nie tylko głos, ale i nogi. Na szczęście, jeszcze zanim podeszliśmy do papie-

ża, on już spoglądał na nas i się uśmiechał. To dodało nam odwagi. Tamtych przeżyć nie zapomnę do końca życia. Dziś jest to podwójnie ważne i wzruszające. Podczas kanonizacji nie wiedziałam, że 29 lat później, w roku poświęconym o. Maksymilianowi, dokona się też beatyfikacja papieża.

Kto zdecydował o tym, że to akurat Pani poniesie dary?

– Nie wiem dokładnie, czyja to była decyzja. Mieszkałam wtedy w Białymostku. Pewnego dnia do naszego domu zapukał ks. proboszcz Stanisław Pisarek z pytaniem, czy rodzice wyrażą zgodę, abym pojechała do Rzymu na kanonizację ojca Maksymiliana Kolbego i na ręce papieża przekazała bochenek chleba. Pomimo że był u nas stan wojenny, rodzice zgodzili się.

Wiele osób w tamtym czasie o paszporcie mogło tylko pomarzyć. Jednak Pani się to udało.

– Owszem, ale nie bez przeszkód. Najpierw razem z księdzem pojechałam do szkoły z zapytaniem, czy dyrekcja wyrazi zgodę na mój wyjazd. Trwał bowiem rok szkolny. Na szczęście nie robili trudności. Potem trzeba było wszystko załatwić w komendzie

Urszula Kłęb uczestniczyła w kanonizacji o. Maksymiliana Marii Kolbego

milicji w Skierniewicach. Niestety, tam otrzymałam odpowiedź odmowną. Paszport dostałam dopiero po interwencji kurii. Dziś, gdy nie ma już między wieloma krajami granic, a wyrobienie paszportu jest tylko czystą formalnością, nie chce się wierzyć, że jeszcze nie tak dawno była to droga przez mękę. Zresztą nie tylko paszport był wówczas problemem. Na przykład władze Czechosłowacji nie pozwoliły nam na nocleg w swoim kraju. Strój, w którym miałam wystąpić na kanonizacji, był zapieczętowany, nie wspomnę już o tym, co się działo na granicy.

Pewnie wielkim przeżyciem było dla Pani również zderzenie z Zachodem i tamtejszym życiem?

– To był szok. Pierwszą noc spędziłyśmy w Katowicach, drugą – w Wiedniu. Tam zobaczyłam sklepy z pełnymi półkami. U nas nie było nic. Ja na spotkanie z papieżem jechałam w pożyczonych od zespołu ludowego w Lipcach Reymontowskich butach. Wtedy nie chciało mi się wierzyć, że życie może tak wyglądać, że do sklepu wchodzi się i kupuje to, co się chce, a nie to, co jest.

Poza uczestnictwem w uroczystościach kanonizacyjnych, które trwały kilka dni, mieliście też czas na zwiedzanie?

– Tak. Mogliśmy zobaczyć Padwę, Monte Cassino czy Asyż, w którym rozpoczynały się uroczystości kanonizacyjne. Do miasta św. Franciszka przybyły wszystkie grupy biorące udział w kanonizacji. Modlitwie przewodniczył kard. Franciszek Macharski. Przy grobie św. Franciszka przypadło mi w udziale złożenie kwiatów. Pamiętam, że był to koszyk „suszków”. Byliśmy też w Auli Pawła VI.

Czy w trudnych chwilach bombarduje Pani niebo za pośrednictwem św. Maksymiliana?

– Nie tylko w sprawach trudnych, ale nawet codziennych. To wyjątkowy patron na czasy, w których godność ludzka jest deptana, a prawo do życia nie zawsze respektowane. Znajomość całego jego życiorysu, również tego sprzed obozu, czyni go bardzo bliskim. Dla mnie pozostanie też patronem dorosłości i dojrzałości, bo w drodze powrotnej z kanonizacji obchodziłam swoje 18. urodziny. ■

Ze świniaki kwicz

PROBLEMY W UBOJNI. Najgorsze jest to, jak się w zakładzie traktuje kobiety. Obrzuca się je nie tylko wulgarnymi wyzwiskami, ale także kawałkami boczku i karczku.

tekst

MARCIN WÓJCİK

mwojcik@goscniedelny.pl

Ubojnia trzody chlewnej Pini Polonia w Kutnie należy do największych w Europie Środkowo-Wschodniej. Firma dopiero w lutym zeszłego roku zaczęła zatrudniać pracowników. Na sam początek pracę znalazło 50 rzeźników oraz tyle samo asystentek działu sprzedaży i operatorów linii produkcyjnej. Docelowo mówiło się nawet o 1200 zatrudnionych. „Firma wymaga wykształcenia średniego, operatorzy linii powinni mieć aktualną książeczkę sanepidu” – mówiła w lutym 2010 roku Anna Konwerska, dyrektor Powiatowego Urzędu Pracy w Kutnie. W pośredniaku znalazła się także oferta Pros-Meat z Bielska Białej, która pomagała Pini szukać pracowników, bo ludzie nie garnęli się do pracy w wielkiej ubojni. Jakby przeczuwali, że kolorowo nie będzie, mimo że rozbieracze półtuszy wieprzowych mieli zarabiać od 1500 do 3000 zł brutto.

Spodziewali się much

Brak fachowców opóźnił otwarcie linii produkcyjnej. „CV zbieramy od kilku miesięcy, ale niewiele ludzi ma wymagane kwalifikacje. Staramy się dotrzeć nawet do rzeźników, którzy pojechali do pracy do Niemiec” – mówiła w lutym ubiegłego roku Ewa Przybysz z działu kadr Pini Polonia.

Po wzmózonych wysiłkach w końcu udało się. 26 marca 2010 r. zakład został uroczyście otwarty. Prezydent Kutna Zbigniew Burzyński mówił wtedy: „Cieszę się, że Piero Pini wybrał Kutno i tutaj,

na Górnej, powstała ta ubojnia”. Wtórował mu właściciel zakładu Piero Pini: „Cieszę się i ja, i to podwójnie, bo zostałem właśnie dziadkiem, a w Kutnie mamy skończoną budowę zakładu. Ostatnio byliśmy bardzo zajęci, pracujemy ciężko, ale mam nadzieję, że ta praca pomoże w rozwoju tego miasta”.

Na forum ekutno.pl szybko pojawiły się pozytywne opinie, takie jak choćby ta autorstwa „Observatora”: „Widziałem zakład. Robi świetne wrażenie. Spodziewałem się smrodu, zamęczonych ludzi, chmar much... Zobaczyłem porządek, żadnych fetorów, spokojnie pracujący personel, dobre zaplecze socjalne. Właściciel rozsądny, otwarty. To nie pazerne cwaniaki, ale nowoczesny biznesmen o szerokich horyzontach. Żeby tacy inwestowali w Polsce, byłoby dobrze. Kutno powinno być zadowolone z tej inwestycji”.

Prokurator problemu nie widział

W styczniu 2011 roku, czyli niecały rok po otwarciu zakładu, w Pini pracuje ok. 1000 osób. W tym samym miesiącu największy kutnowski portal informacyjny KCI podaje: „Brak świadczeń socjalnych, praca po 14 godzin na dobę, niewypłacanie pieniędzy za wszystkie nadgodziny, liczne zwolnienia – byli i obecni pracownicy Pini Polonia mają wiele zarzutów wobec ubojni”. W tym samym artykule pojawiła się też wypowiedź jednego z pracowników pod zmienionym nazwiskiem: „Najgorsze jest to, jak się traktuje kobiety. Jak można zachowywać się wobec nich tak wulgarnie? Rzucanie w ich kierunku kawałkami boczku czy karczku też jest na porządku dziennym”. Niektórzy mówią jesz-



cze o rękoczynach i agresywnym zachowaniu brata właściciela zakładu. Normalnym zjawiskiem są wyzwiska, ułóżanie. Wielu ludzi pracuje bez umów, za głodowe stawki, bez odzieży ochronnej. O tym wszystkim mówią pracownicy.

Przez niecały rok działania ubojni już kilka razy odwiedzała Państwowa Inspekcja Pracy. Byli także przedstawiciele ochrony środowiska. W grudniu ubiegłego roku delegatura Wojewódzkiego Inspektoratu Ochrony Środowiska w Skierniewicach ujawniła, że w rowach melioracyjnych w pobliżu zakładu znalazła się gnojowica. Według Pini Polonia, jej wylanie to sabotaż, zorganizowany przez pracowników. Ale takie tłumaczenie nie pomogło i sprawa – na wniosek WIOŚ – trafiła do Prokuratury Rejonowej w Kutnie. Ta jednak sprawę umorzyła. Szef kutnowskiej prokuratury Sławomir Erwiński tłumaczył: „Bezsporny jest fakt, że te ścieki znajdowały się w rowach. Podstawą do wszczęcia postępowania byłoby jednak zagrożenie dla życia i zdrowia wielu ludzi bądź zniszczenia w świecie roślinnym lub zwierzęcym w znacznych rozmiarach. A w tym przypadku tak nie było”. Po odmówieniu wszczęcia śledztwa WIOŚ złożył do Sądu Rejonowego

Piero Pini na otwarciu ubojni 26 marca 2010 roku mówił, że ma nadzieję, iż zakład pomoże w rozwoju miasta

wego w Kutnie zażalenie na decyzję prokuratury.

Gnojowicą bardziej niż prokuratura przejęli się miесcy radni, którzy zorganizowali spotkanie z prezesem ubojni. Po spotkaniu radny Krzysztof Dębski powiedział: „Piero Pini

poinformował nas między innymi o dodatkowych inwestycjach w zakładowej podocyszczalni, co ma zdecydowanie poprawić wskaźnik ścieków odprowadzanych do Grupy Oczyszczalni Ścieków”.

Ale problemem nie jest tylko złe traktowanie pracowników i ścieki, ale także hałas, który odczuwają okoliczni mieszkańcy, zwłaszcza podczas rozładunku transportu świń. Piero Pini obiecał, że w ciągu kilku tygodni pojawią się dodatkowe ekrany akustyczne.

Wojna domowa?

Wrze na forach internetowych na temat Pini Polonia i przy okazji dostało się jeszcze kilku innym zakładom w Kutnie. Pojawiły się poważne i mniej poważne wpisy. „Gotowy do działania” napisał: „W ludziach odezwała się wręcz chęć walki o dobre płace, a przede wszystkim o godne warunki pracy. Kwestia czasu, jak będą strajki i – nie daj, Boże – wojna domowa. Bo to, co się dzie-

...ką w nocy?

je w Pini Polonia, jest po prostu nie do uwierzenia. Ktoś dobrze napisał, że trzeba się zebrać, żeby wszyscy wyszli na ulicę. I demonstrację, i strajk zrobić. Ale cóż, znając Polaków, to tylko potrafimy gadać, a nie działać". O nierównym traktowaniu pisze „Kociszkaaa”: „Znam sytuację Pini od czasów budowy tego »obożu« i od samego początku traktowanie Polaków było tragiczne. Pracownik budowlany, Polak, pracował do 14 godzin, i to bardzo ciężko, a taki sam robotnik, Włoch, pracował 8–10 godzin z przerwami, obiadami itp. Polaków czepiano się, umowy zrywano,

stawki godzinowe zależne były od kaprysów...”.

Prześmieszne zarzuty

– Prezydent Burzyński liczył na to, że w Pini Polonia dobrą pracę znajdą kobiety, bo to dla nich jest najmniej ofert pracy w mieście – mówi nam jeden z miejskich radnych. Ale dzisiaj kobiety nie chcą tam pracować, nie wytrzymują stresu ciągłej kontroli i patrzenia na ręce.

Pod koniec lutego Rada Miasta Kutna przyjęła stanowisko w sprawie łamania i naruszania przez ubojnię Pini Polonia praw pracowniczych. Podczas sesji wiele razy

na temat ubojni wypowiadał się prezydent Zbigniew Burzyński. Raczej próbował bronić zakładu i pewnie trochę racji miał: „Pieniądze nie śmierdzą. Prawie 1000 osób tam pracuje, średnia pensja to 3000 zł. Pokażcie mi te wspaniałe kutnowskie zakłady z taką pensją? Pini Polonia płaci duży podatek dochodowy. Przy miliardowym obrocie pomyślcie, jakie to pieniądze. Nikt nie mówi o innych zakładach diabła wartych, w których ludzie pracują za najniższą ustawową. Naszym zadaniem było sprowadzić inwestora i zmniejszyć bezrobocie. A jak coś się dzieje w tym zakładzie, to trzeba to ścigać i tyle”.

Powiedział też, że w mieście jest 12 zakładów o szczególnym zagrożeniu dla środowiska, ale o tym się nie mówi, że tam, gdzie są ogromne zbiorniki amoniaku czy gazu, nie ma ratunku. „I tak: Saga Gaz, Rejonowa Spółdzielnia Ogrodniczo-Pszczelarska, Exdrob, młeczarnia. Tam już były przypadki rozszczelnień zbiorników. A w Pini jest coś naturalnego, na wsi mają to na co dzień. Albo że hałas jest. Jaki hałas? Ze świniaki kwiczą w nocy?! Prześmieszne są te zarzuty” – bronił prezydent.

A firma Pini Polonia nie udziela mediom komentarzy.



MARCIN WÓJCIK

Hodowcy trzody chlewnej – Waldemar Świdrowski z Wyborowa i jego syn Łukasz (po prawej) – już w zeszłym roku mówili, że potężny odbiorca, jakim jest „Pini Polonia”, nie wróży dobrze hodowcom, bo będzie dyktował ceny



MARCIN WÓJCIK

Folwark pana Włodka w Budach Chojnickich

Żabcia u fryzjera, Ferduś w zalotach

Kozioł udający lamę i kuc niczym wielka maskotka – to tylko niektóre zwierzęta z gospodarstwa Włodzimierza Mrówczyńskiego pod Skierniewicami.

Przez Polskę przełała się ostatnio fala protestów przeciwko złemu traktowaniu zwierząt. Media podawały przykłady bestialstwa właścicieli wobec czworonogów. Warto więc przytoczyć zupełnie inną historię. W tym gospodarstwie wielkim szacunkiem cieszą się nawet te zwierzęta, które kiedyś trafiają do garnka.

Zamiłowanie do zwierząt Włodzimierz Mrówczyński wyniósł z domu. Jego ojciec przez wiele lat hodował owce. W gospodarstwie Mrówczyńskich są konie, kuce, dziki, świnki wietnamskie, gęsi, kury, kaczkę, króliki, a także owca, koza, psy i koty. Ostatnim marzeniem gospodarza jest osioł, który – podobnie, jak niektóre jego zwierzęta – w okresie Bożego Narodzenia mógłby być atrakcją w żywej szopce w Szczukach.

Mała, chuda i zarośnięta

Hodowla zwierząt nie jest głównym źródłem utrzymania rodziny. Mrówczyńscy uprawiają ziemię i prowadzą

Nie brakuje też gęsi, kaczek i kur, które hodowane są głównie dla mięsa i jaj

sklep ogrodniczy. – Zakup pierwszych zwierząt zasugerowała nam pediatra córki – mówi Włodzimierz Mrówczyński. – Dominika była wtedy jeszcze bardzo mała. Podczas badania pani doktor stwierdziła, że widać, iż dziecko je żywność naszpikowaną hormonami. Rzeczywiście, żona często kupowała indyki, sądząc, że to najzdrowsze mięso. Po powrocie od lekarza pojechałem na rynek i kupiłem kilka sztuk drobiu, żeby było swoje mięso i jajka – opowiada W. Mrówczyński.

Przy szklance owocowej herbaty i pysznym cięście pan Włodzimierz chętnie wspomina początki hodowli. Jednym z pierwszych

W gospodarstwie Włodzimierza Mrówczyńskiego szczególne miejsce zajmują konie i kuce

zwierząt była kobyłka kupiona na źrebaki. Kolejnym – łaciaty kuc Zuzia, o którego prosiła pana Włodka córka Martyna. Żeby Zuzi nie było smutno, dokupił Ferdusia, który – jak żartują gospodarze – jest sprawcą powiększającej się hodowli, bo co roku stara się o potomstwo.

Wrażliwość na biedę i dobre serce pana Włodzimierza sprawiały, że nie zawsze kupował najpiękniejsze okazy. Tak było choćby w przypadku kucy Żabci (warto wspomnieć, że wszystkie imiona zwierzętom nadaje najmłodsza córka Mrówczyńskich).

– Żabcię kupiłem w Sochaczewie. Była mała, chuda i zarośnięta. Handlarz powiedział mi, że kupił ją od jakiegoś alkoholika, który w ogóle o nią nie dbał. Podobno była tak głodna, że wyjadała spod siebie siano. Wzruszyłem się i ją kupiłem – mówi pan Włodzimierz.

Po powrocie do domu Żabcia nie tylko została odkarmiona, ale także zafundowano jej wizytę u fryzjera. Gospodarz wycesał jej dwie reklamówki sierści, co sprawiło, że od razu zyskała na urodzie. Od kilku lat w okresie Bożego Narodzenia opuszcza stajnię w Budach Chojnickich i na kilka tygodni przenosi się do Szczuk, do żywej szopki. Znana jest tam ze zdejmowania dzieciom czapek,

a nawet podnoszenia ich zębami do góry.

Kuc, który wierzga

Kuce Włodzimierza Mrówczyńskiego są także bywalcami festynów w Nowym Mieście, Białej Rawskiej czy Skrzielewie. Są tam atrakcją dla najmłodszych. Niestety, nie każdy z nich nadaje się pod siodło. Niektóre potrafią być porywcze i nieobliczalne. Przekonał się o tym pan Włodzimierz, zabierając na jeden wyjazd Ferdka.

– Posadziłem na nim małego chłopca i nim się spostrzegłem, Ferdek stanął na dwóch nogach. Cudem złapałem spadającego malca, który uznał to za świetną zabawę. Słyszałem potem, jak prosił rodziców o jeszcze jedną jazdę na koniku, który chodzi – mówi z uśmiechem pan Włodzimierz.

Opowieści zwłaszcza o kucach, świnkach czy dzikach w domu Mrówczyńskich można słuchać godzinami. Gospodarze świetnie znają ich nawyki, reakcje i zachowania. Jedne są łagodne i odważne, inne radosne albo nieufne, a nawet lekko złośliwe. – Pewnego razu, gdy chodziłam po podwórku, została zaatakowana przez knura świnek wietnamek – wspomina Zofia Mrówczyńska. – Mieliśmy ich wtedy ze 30 sztuk. Część była w oborze, bo się prosiła. Knurek pewnie pomyślał, że chcę mu zabrać również i te, które były na podwórzu, a trzeba przyznać, że są to bardzo kochliwe zwierzęta. Uderzył we mnie tak silnie, że się przewróciłam. Próbował mnie też gryźć. Na szczęście córka mnie uratowała – wspomina pani Zofia.

Hodowla zwierząt to dla Mrówczyńskich nie tylko sposób na zdrową żywność (nic nie dorówna jajecznicy z jajek od własnych kur). Ale jest tu też wiele zwierząt, które bynajmniej nie mają przeznaczenia gastronomicznego. Tak jest w przypadku kuców, koni, psów czy kozła, którego wszyscy biorą za lamę. Między nimi a gospodarzami panuje szczególna więź. Podobno nieraz Mrówczyńskim udaje się z nimi porozmawiać...

nap



ZDJEŃCA AGNIESZKA NAPIORKOWSKA



Czytelnia dla migrantów w Żyrardowie

Biblioteka jak ambasada

Ukraińcy, którzy osiedlili się w mieście, raz w miesiącu **będą czytać wspólnie literaturę narodową i dyskutować** na jej temat.

Miejska Biblioteka Publiczna w Żyrardowie od lutego współpracuje z Fundacją Ternopilską, która działa na rzecz migrantów z Ukrainy. Dzięki temu w MBP został stworzony Klub Czytelniaka dla Migrantów. Będą oni mogli spotykać się z rodzimymi oraz polskimi pisarzami, twórcami kultury, zaplanowano czytanie literatury ukraińskiej, ale również polskiej. W filii biblioteki przy ul. 1 Maja 52 powstanie także punkt konsultacyjny, gdzie będzie można uzyskać poradę prawną.

Klub Czytelniaka ma pobudzić do większej aktywności Ukraińców przebywających w Żyrardowie i okolicach, a także zapoznać ich z bogactwem kulturowym zarówno kraju, w którym przebywają, jak i tego, z którego pochodzą. Organizatorzy mają nadzieję, że dzięki temu migranci staną się bardziej świadomi własnej przynależności narodowej.

Taką potrzebę widzi między innymi założycielka Fundacji



MAREK WOJCIK

Jadwiga Nowakowska, dyrektor Miejskiej Biblioteki Publicznej w Żyrardowie, stawia na aktywność na różnych polach, co widać na przykładzie nowych projektów

Ternopilskiej Marija Jakubowycz. FT wspiera migrantów w dążeniu do dostępu do edukacji, godnych warunków zamieszkania i pracy, rozwoju zawodowego. Wyjaśnia im meandry polskiego prawa, pomaga usamodzielnic się i przyjąć odpowiedzialność za własną przyszłość. Dużą rolę odgrywa tutaj kultura.

Dlatego do współpracy zaproszone zostały właśnie biblioteki, wydawnictwa o różnym profilu tematycznym, darczyńcy lektur, książek czy materiałów multimedialnych. Rozpoczęła się już zbiórka książek dla nowo powstającego działu literatury ukraińskiej w żyrdowskiej bibliotece. **js**



**tyczek wieści
z Gościem**

☞ Strach padł na mieszkańców Kutna. Dyrektorzy bibliotek zapowiedzieli, że w Krajowym Rejestrze Długów znajdują się ci kutnianie, którzy przetrzymują w domu książki i nie reagują na wezwania do zapłaty kary. Wpis do rejestru oznacza, że można się pożegnać z lodówką na raty i telefonem na abonament. W Kutnie rekordzista nie oddał książek, które wypożyczył... 9 lat temu.

☞ Na stronach internetowych Skierniewic prezydent Leszek Trębski informuje o mających się odbyć konsultacjach: „Przedmiotem jest wypowiedzenie się mieszkańców Skierniewic w sprawie zmiany granic administracyjnych Miasta poprzez przyłączenie do niego części obszaru Gminy Maków, obejmującego nieruchomości oznaczone numerami działek: 1/4 o pow. 49,0197 ha, 1/6 o pow. 91,0300 ha, 1811/1 o pow. 10,7628 ha, 1811/2 o pow. 0,2547 ha, 1811/3 o pow. 0,1686 ha, 1811/4 o pow. 0,0610 ha, 1811/5 o pow. 0,1376 ha i 1811/6 o pow. 0,4204 ha (łącznie o pow. 151,8548 ha)”. Ciekawe, czy prezydent Trębski zastanawiał się już, jaki numer ma działka, na której stoi dom wójta gminy Maków?

☞ Kutnowski sanepid zorganizował szkolenie na temat szkodliwości brania dopalaczy. Przeznaczone było dla nauczycieli i urzędników. Pewnie jedni i drudzy słuchali o czymś, czego nigdy do ust nie wzięli i nie wezmą. Może lepiej było zaprosić gimnazjalistów? ■

■ R E K L A M A ■

103,5 FM
Łowicz/Sodhaczew

93,8 FM
Kutno

94,7 FM
Rawa Maz.

96,7 FM
Skierniewice

98,1 FM
Maszcowo/Żyrardów

radio
Victoria

www.radiovictoria.pl

agencja reklamowa



Nasi wielcy

Pani magister od wycinanek

Chlubą łowicza i żelaznym punktem wycieczek jest wizyta w muzeum.

Swojego powstania i rozkwitu placówka nie zawdzięcza jednak rodowitym łowiczanom.

Powojenny rozwój muzeum jest w znacznej mierze zasługą długoletniego najpierw kierownika, potem kuratora muzeum – Henryka Świątkowskiego oraz jego żony Anny. Postać Henryka przypominaliśmy już w tym cyklu. Niemniej ciekawą i równie zasłużoną dla kultury – nie tylko Łowicza – postacią jest Anna Świątkowska z domu Małycha.

Nauczycielka z powołania

Urodziła się w 1915 r. we wsi Kowale pod Wielunem. Jeszcze przed wojną zdała maturę w Seminarium Nauczycielskim w Piotrkowie Trybunalskim. Pracowała potem jako wychowawczyni w Warszawie, bo w rodzinnych okolicach nie mogła znaleźć posady. W czasie wojny prowadziła tajne nauczanie oraz punkt kontaktowy poczty i prasy Armii Krajowej w Białostockiem, dokąd rzucił ją los.

– Dla niej było to jak pójście śladami Siłaczki, jak realizacja młodzieńczych ideałów – mówi syn Tomasz Świątkowski. – Niezwykle przykładała się do obowiązków, próbując wyedukować analfabetę mianowanego przez Rosjan na sołtysa. Ten później wstawił się za nią u swoich mocodawców z wdzięczności, że mógł się wreszcie własnoręcznie podpisać. I to – jak opowiadała – ocaliło ją przed wywiezieniem na Sybir.

Po wojnie ukończyła pedagogikę społeczną na Uniwersytecie Łódzkim. Później na tej samej uczelni podjęła studia etnogra-



Anna Świątkowska była jedną z osób zasłużonych dla kultury łowickiej

ficzne. Anna Małycha pracowała w różnych instytucjach społeczno-kulturalnych i oświatowych w Łodzi i Warszawie aż do 1954 r., kiedy przyjechała za mężem, którego poznała w stolicy, do Łowicza. Henryk Świątkowski otrzymał bowiem powołanie od dyrektora Muzeum Narodowego w Warszawie prof. Stanisława Lorentza na stanowisko kierownika Muzeum w Łowiczu.

Początkowo zajęła się wychowywaniem dwójki dzieci. W 1957 r. podjęła pracę w muzeum. Małżeństwo Świątkowskich działało dwutorowo: odbudowywało, żeby nie powiedzieć – stawiało od nowa budynek muzeum, a także groma-

dziło eksponaty. W tym czasie właściciele bezceremonialnie obchodzili się ze starymi meblami, strojami, sprzętami, traktując je jako nic niewarte „graty”. Świątkowscy jeździli po wsiach i ratowali, co się da. Dzięki ich energicznym działaniom, już w 1959 r. ukończona została odbudowa gmachu w kształcie, jaki znamy obecnie.

Dama w szlafroku

W 1960 r. w Łowiczu powołano do życia Towarzystwo Przyjaciół Muzeum. Ofiarodawcy dobrowolnie wpłacali pieniądze na konto placówki, dzięki czemu stało się ono chlubą regionu. Jednak najważniejszą przyczyną, dzięki której znalazło się tak wielu ofiarodawców, byli z pewnością członkowie towarzystwa. Jednym z najbardziej aktywnych okazała się żona kustosa – Anna Świątkowska.

Wiele czasu poświęcała pracy, oprowadzając wycieczki, prowadząc lekcje muzealne. Starsi wiekiem pracownicy wspominali, że „pani magister” – jak ją nazywano – potrafiła w środku nocy doglądać w szlafroku (przez długie lata Świątkowscy mieli mieszkanie służbowe w muzeum) pracy palaczy. Z drugiej strony pani Anna pamiętała o imiennach pracowników, częstując ich domowym ciastem i winem własnego wyrobu.

W kręgu jej zainteresowań naukowych znalazły się przede wszystkim sztuka i obrzędowość ludowa. Była także autorką licznych opracowań i artykułów dotyczących łowickich wycinanek, haftów, stroju, zdobnictwa wnętrza oraz obrzędowości rodzinnej i dorocznej. Jej prace były drukowane w wydawanej przez Polską Akademię Nauk „Polskiej Sztuce Ludowej”, „Łódzkich Studiach Etnograficznych”, „Pracach i Materiałach Muzeum Archeologicznego i Etnograficznego” w Łodzi oraz licznych czasopismach ogólnopolskich. Była współautorką cieszących się szerokim zainteresowaniem muzealnych wystaw czasowych, dotyczących kultury ludowej Księżaków łowickich. Prowadziła liczne prelekcje i wykłady na temat regionu i tematyki z nim związanej. W podsumowaniu działalności zawodowej, swojej i męża Henryka, pani Anna napisała: „Najważniejszym zadaniem realizowanym przez nas w ciągu trzydziestu kilku lat pracy w Muzeum w Łowiczu była ochrona dziedzictwa kulturowego regionu łowickiego”.

Anna Świątkowska zmarła w 2007 roku. Zważywszy na zasługi etnografów dla miasta i regionu, aż dziwi, że nikt nie wystąpił z inicjatywą przyznania jej i mężowi tytułu honorowych mieszkańców Łowicza.

as



Na polu z wnukiem...



...i w skansenie w Maurzycach